

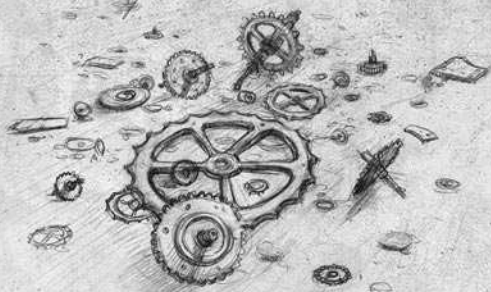
KRZYSZTOF PISKORSKI

KRAWIECZ CZASU

GWIAZDOZBIÓR FANTASTYKI



KRAJEDZ CASU





Książki Krzysztofa Piskorskiego
wydane nakładem
Agencji Wydawniczej RUNA:

- ◆ *Wygnaniec (Opowieść Piasków, tom 1)*
- ◆ *Najemnik (Opowieść Piasków, tom 2)*
- ◆ *Prorok (Opowieść Piasków, tom 3)*

- ◆ *Zadra. Tom I*
- ◆ *Zadra. Tom II*



KRZYSZTOF PIKORSKI

KRAWIECZ CZASU



Agencja Wydawnicza
RUNA

KRAWĘDŹ CZASU

Copyright © by Krzysztof Piskorski, Warszawa 2011

Copyright © for the cover and interior illustrations & graphic elements
by Artur Sadłos

Copyright © 2011 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko
na podstawie pisemnej zgody wydawcy.



Opracowanie graficzne: Artur Sadłos / Red Flying Robot

Redakcja: Karolina Pawlik

Korekta: Krzysztof Wójcikiewicz

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2011

ISBN: 978-83-89595-74-4

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl



Mojej żonie
– książka, którą zawsze chciała przeczytać




א

alef

Mechan rósł.
Pokrył już cały kąt oranżerii, a jego błyszczące narośla zaczęły sięgać dalej – pełzły po kamiennej podłodze, wspięły się na kolumny. W półcieniu ażurowych sklepień z kutego żelaza skrzyły się mosiężne kółka, przekładnie, osie; mrowie drobiazgu ledwie widocznego okiem, złocista piana.

Mechan puchł.

Promienie światła, wpadając przez szyby w secesyjnych ramach, rozszczepiały się na jego dywanie, rozpadały na setki błysków w morzu miniaturowych ramion oraz poskręcanych taśm transmisyjnych, których początku i końca nie dało się uchwycić wzrokiem, jakby każda była osobną wstęgą Moebiusa, zaplątaną wśród wałów



maszyny. Wszystko cykało, ruszało się jednostajnym rytmem, zrodzonym w niewidzialnych czeluściach wewnątrz potężnej masy, którą widać było za południową ścianą oranżerii.

Mechan pełzł, wspinał się.


I tylko człowiek, który niemal przyłożyłby do niego twarz, mógłby poznać zagadkę tego ruchu. Zobaczyłby, jak spomiędzy gąszczu lilipucich elementów wyjeżdżają na pasach kolejne części tylko po to, by zaraz jakieś ramię – cienkie jak noga świerszcza – pochwyciło je i precyzyjnie umieściło na miejscu, tam gdzie rodziła się kolejna przekładnia, taśma, skrzyżowanie.

Maszyna nawarstwiała się niczym nowotwór, toczyła przestrzeń jak korniki drewno. W pustym, cichym wnętrzu oranżerii nic nie mogło przeszkodzić jej ekspansji.

Stała jednak – nagle, niespodziewanie. Najpierw z wnętrza doszedł daleki zgrzyt, a potem stuk, gdy któryś element trafił na niespodziewany opór. Wkrótce w pełnej kletków reakcji łańcuchowej zakleszczyły się kolejne kółka; martwica rozprzestrzeniała się błyskawicznie. Chwilę jeszcze miliony zębatek drżały, próbując przewyciężyć własny opór – pisk metalu był jak jęk zdychającego psa. Wreszcie wszystko znieruchomiało.

Gdy ostatnia namiastka życia zniknęła, żaden dźwięk nie zakłócał już spokoju oranżerii. Powietrze było suche, chłodne, zmrożone zimnym światłem. Mijały godziny, ale cienie kolumn nie rosły. Próżno było też wypatrywać ruchu liści, jakby wyrzeźbionych z zielonego szkła.

Czas stracił znaczenie – nie było niczego, co mogło go odmierzać.



Ale w pewnym momencie tę nieśmiertelną harmonię przerwał dźwięk. Gdzieś ze środka maszyny dobiegło głucho metaliczne uderzenie, potem jeszcze jedno i następne. Brzmiało to, jakby górnik rył w mechanie tunel, pracowicie tłukąc kilofem masę drobnych elementów.

Jeszcze chwila – i spod mosiężnego puchu wybiła na powierzchnię pięść. Krew spływała po skórze pokrytej siatką skaleczeń. Palce rozwarły się, chwyciły płat maszyny i oderwały go od powierzchni. Filigranowe części rozsypały się po podłodze, błyszcząc jak złote krople. Pojawiła się druga dłoń. Tłukła, rwała, ze zwierzęcą desperacją walcząc z porowatymi blokami.

Wkrótce z twardego, pełnego ostrych krawędzi brzucha mechanu wydarł się na świat mężczyzna. Ubranie wisiało na nim w strzępach, rany i skaleczenia pokrywały całe ciało. Rozmazana na twarzy krew stężała w upiorny makijaż.

Chwilę stał, chwiejąc się lekko, a potem ruszył powoli naprzód, jakby każdy krok wymagał głębokiego namysłu. Fragmenty mechanizmu zgrzytały pod jego butami. Wytrzeszczone oczy szyb i błyszczące paciorki soczewek śledziły go, gdy zbliżył się do drzwi, nacisnął klamkę i wyszedł na zewnątrz, w światło.


Mechan cierpliwie czekał.

Kiedy tylko kroki umilkły w dali, ruszył, niespiesznie wyluskując ze swojego wnętrza wysadzone z osi elementy. Zrzucał je jak złoty naskórek, a w jego środku zaczęło już tętnić nowe życie.

Mechan był niepokonany.







Zimne powietrze kłuło w głębi ucha, grało w pracujących jak miechy płucach, które smród śmietników zdawał się drapać od wewnątrz. Nogi były kolumnami bólu, stopy ślizgały się na mokrym bruku.

Maksym wykręcił głowę i kątem oka złowił jasnozielony błysk. To odblaskowe paski policyjnych kurtek odbiły światło latarni. Szczekał pies. Trzeszczały krótkofalówki.

Nie odpuszczali.


– Policja! Stój!

Strach kazał Maksymowi rzucić się w wąską szczelinę między kamienicami. Wiedział, że może trafić w ślepy zaułek, ale nie słuchał rozsądku, zbyt się bał pościgu. Był pewien, że jeśli tylko da im okazję, zaczną strzelać. Do gazet trafi jako „diler z biura turystycznego”, pewno wygrzebią jeszcze Liban, nikt nie będzie płakał, przecież nie miał nawet rodziny, która mogłaby rozpaczać, że taki dobry chłopak.

Przerwa między budynkami prowadziła na małe podwórko. Z trzepaka zwisała zapomniana wycieraczka, nasiąknięta wodą i wyblakła. Kulawy kot kuśtykał pod murem. Z otwartego okna ryczał telewizor, a odgłosy strzałów i policyjnego pościgu mieszały się z pościgiem prawdziwym, tak że nie dało się powiedzieć, który dźwięk był prawdziwy, a który – tylko celuloidowym, ociekającym testosteronem majakiem.

Maksym przebiegł na sąsiednią ulicę, pasek bruku na dnie wąwozu odrapanych kamienic. Skrzyżowaniem przemknął radiowóz na sygnale. Baba w papilotach gapiła się z drugiego piętra. Pościg się zbliżał.


Nie odpuszczali.



Gdy Maksym zerwał się do biegu dziesięć minut temu, sądził, że psy machną na niego ręką już po pierwszych stu metrach. Uciekał przed policją w wielu krajach – wszędzie mundurowi byli tak samo leniwi, głęboką nocą myśleli tylko o końcu zmiany. Zresztą złapać byle włóczęgę to większy problem niż korzyść. Trzeba było odwieźć go na komisariat, wypełniać papiery, dużo papierów. Ale ci tutaj złamali niepisaną zasadę, zupełnie jakby gnała ich jakaś tajemnicza siła. Może chcieli się odegrać, bo wcześniej zwiął im gówniarz z puszką farby albo przegrali z kumplami w karty? Może musieli się wykazać, bo komendant narzekał na liczbę zatrzymań? Maksym czuł jednak, że prawdziwa przyczyna była dużo głębsza – i tajemnicza.

Miasto go odrzucało, wypychało, jak ropa wypycha drzazgę, która zbyt długo tkwi w ranie. Był tu obcym ciałem, intruzem spoza systemu, musiał zginąć lub odejść. Biegając, wyrzucał sobie w myślach, że nie zauważył pierwszych objawów tej immunologicznej reakcji. Przecież już od jakiegoś czasu ludzie patrzyli na niego dziwnie. Obcy akcent, który kiedyś nie przyciągał uwagi, teraz prowokował nieprzyjazne spojrzenia. Znajomi przestali dzwonić. Gdy nawet komórka piknęła, żeby przypomnieć o swoim istnieniu, okazywało się, że to reklama albo rozładowana bateria. Szefowa z biura podejrzanie zwlekała z harmonogramem na nowy sezon, a pies sąsiadki jakby częściej szczął na drzwi mieszkania wynajmowanego do spółki ze studentami, jakby coraz wredniejszymi.

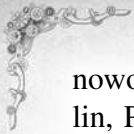
O, tak. Miasto dało mu już wiele subtelnych znaków, że czas ruszyć w drogę. Zignorował je wszystkie.



Nic dziwnego, że musiało podjąć ostrzejsze kroki. I oto jego nieduża robota na boku nagle zaczęła przeszkadzać policji. Co im było do tego, że jeśli przyjaciele prosili, żeby załatwił jakiś rozweselacz, to on wiedział skąd? Czy to jego wina, że bywał w Turcji i Maroku kilka razy rocznie, że znał tam odpowiednich ludzi? To i tak nie były duże ilości, parę gramów haszu, kilka kulek zielonego, sprzedawane pod stolikiem, zawsze w tym samym klubie. I nawet nie brał od razu pieniędzy, nie spieszyło mu się – jeśli ktoś nie miał, przynosił potem. Przyjacielski układ. Jeśli mieszał się nagle ktoś trzeci, musiały w tym maczać palce siły wyższe.

Skąd w ogóle się dowiedzieli? Dlaczego czekali pod klubem w cywilnym samochodzie, z radiowoza-
mi schowanymi za rogiem, zupełnie jakby był groź-
nym przestępcą?

Biegając w mrok, zacisnąwszy do bólu szczękę, by odwrócić uwagę od piekących mięśni, Maksym przeklinał się za to, że dał się zaskoczyć. Powinien przewidzieć, że miasto go odepchnie, podobnie jak wszystkie miejsca, w których był wcześniej. Dwa lata – to był jego nowy rekord, odliczając sierociniec, gdzie siedział do osiemnastki. Ale i tak nigdy nie czuł się tu dobrze, zawsze miał wrażenie, że jest tylko gościem, który nie wie, czemu zatrzymał się w połowie podróży, w jakimś miejscu zaplanowanym na krótki przystanek, a potem zaczął nagle udawać, że jest jednym z tubylców. Planował wyjechać dalej – do Japonii albo do Indii. Chciał sprawdzić, czy w jakimś odległym miejscu, w innej kulturze będzie się czuł równie obco. Nie bał się nauki języka ani układania sobie na



nowo życia. Przeszedł to już kilka razy: Tel Awiw, Berlin, Paryż.


Dwa lata. To i tak dużo na średniej wielkości polskie miasto. Na przeszkodzie wyjazdowi stanęło jednak to samo, co zwykle – zguba nomadów, zaraza, która wygubiła koczowników: lenistwo. Tutaj było mu w miarę dobrze, miał do pewnego stopnia ułożone życie, kilku względnie bliskich znajomych, z grubsza akceptowalną pracę, związek – jeśli można tak nazwać okazjonalne sypianie z neurotyczną studentką. Gdzie indziej musiałby zaczynać od początku.

Po prostu mu się nie chciało. Wolał udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Na to, co nastąpiło, zasłużył sobie jak diabli. Cooka zżarli dzicy, kiedy zbyt swobodnie się u nich poczuł – jego natomiast czekała kula w plecę oraz nekrolog w brukowcu.

– Stój! – rozległ się kolejny krzyk.

Znów go widzieli. Musiał zanurkować w boczny zaułek, niemal wywrócił się na mokrym chodniku. Graffiti złało się w kolorową wstęgę, obsceniczne rysunki splecione z przekleństwami w bezkształtną protomasę. Latarnie śmigły po bokach, odmierzając kolejne metry – betonowe pnie w lesie żółtych świateł.

Zebrał w sobie resztkę sił, a potem zmusił obolałe nogi do sprintu, chcąc się oddalić, póki go nie widzą, dotrzeć jak najgłębiej w dół grafu potencjalnych możliwości, który rozgałęział się dziesiątkami ciemnych bram oraz pograżonych w półmroku zaułków. Bał się jednak instynktownie, że ludzie w odblaskowych kurtach będą dzielić się w nieskończoność, pączkować tak, by sprawdzić każdą odnogę.




Troje dzieciaków palących na zmianę wymiętego papierosa spojrzęło na niego podejrzliwie, gdy przebiegł obok placu zabaw. Białka ich oczu błyszcząły w ciemności, niedopałek żarzył się przed twarzami jak tłusty świetlik. Znów śmietniki, kolejna brama, kilka schodków w górę, następna ulica. Tu chwila zastanowienia – po prawej ciągnęła się szeroka dwupasmówka, za nią bloki i market, obok niego ciemny parking. Po lewej więcej kamienic, żelazna barierka, za którą płynęła leniwie rzeka. Z przodu kolejne podwórko, do którego droga wiodła pod wielkim łukiem, dziurawiącym kamienicę z powybijanymi oknami.

Maksym myślał przez jedną gorączkową chwilę. Potem rzucił się w bok i zanurkował do najbliższej bramy, równoległej do tej, skąd właśnie wybiegł.

Przywarł plecami do muru i dyszał ciężko, wciągając ze świstem skisły zapach wilgoci, tynku i moczu. Tamci wybiegli na ulicę, a chwilę potem pojedyncze głośne przekleństwo rozcięło nocną ciszę, odbiło się od ścian i zasłoniętych okien. Chwilę kręcili się po uliczce, ledwie metry od niego, jeden zajrzał do pobliskich bram, ale wszędzie witała go tylko ściana mroku. Po chwili odeszli.

Maksym bał się ruszyć. Choć dusił się po długim biegu, przyciszył oddech, żeby ktoś przypadkiem nie usłyszał sapania. Piekły go otarte w ciasnych dżinsach uda, po plecach ściekała strużka potu, rzeźbiąc sobie koryto między ptasimi łopatkami, wzdłuż kręgosłupa.

Wtem coś zachrząściło z boku, pod ścianą. Obiektów aparatu? Elektryczna zabawka? Maksym odwrócił



się, czując, jak serce, które jeszcze nie odpoczęło od katorżniczego tempa, znowu zrywa się do sprintu.

Pierwsze, co zobaczył, to złocisty błysk. W świetle latarni, którego smuga wpadała do bramy, coś lśniło przed nim, na wysokości kolan. Wytrzeszczył oczy, przywarł mocniej do muru i gapił się głupio, nie mogąc zogniskować wzroku na złocistej masie.


A może to jego umysł nie chciał pogodzić się z tym, co widzi, i przez chwilę nie dopuszczał do siebie groteskowego obrazu?

Ślepotą emocjonalną, pomyślał od rzeczy, przypominając sobie nazwę zjawiska, o którym czytał. Albo kwasowy zwid.

Jednak TO trwało dalej, kłując źrenice migotliwym blaskiem.

TO było pajakiem, zbudowanym z polerowanych mosiężnych części, zębatych kół i metalowych stawów. Na szczycie zamiast głowy widniało pojedyncze oko. Oko to patrzyło na niego, przekreściwszy się na bok jak głowa ciekawskiego dziecka. Nogi – zbyt liczne, żeby się zorientować, ile ich w zasadzie jest – drobiły w miejscu, stukając o brudną posadzkę.

Długo stali tak naprzeciw siebie, a Maksym z każdą chwilą czuł, jak początkowe zdziwienie odparowuje wraz z potem, który w pierwszej chwili wybił mu na czoło. Ten mechanizm – lub istota – zdawał się znajomy, nie straszył, nie zaskakiwał, przyciągał jak zabawka z dzieciństwa, wygrzebana na dnie szafy. Wspomnienia budziły się, ale nie przybierały jeszcze konkretnych form, powodowały tylko dziwne mrowienie z tyłu głowy.



Maszyna wydała jęk trących o siebie metalowych części. Odwróciła się i zrobiła kilka kroków w przód, potem znów spojrzała na niego, akomodując soczewkę sztucznego oka na patykowatej sylwetce, zupełnie jakby chciała go ponaglić.

Maksym zrozumiał. Adrenalina wciąż łomotała mu w głowie, nie miał ochoty na filozoficzne dywagacje, a metalowy przewodnik prowadził w mrok, daleko od policjantów.

Ruszyli w głąb starego domu. Gdzieś z boku widniała czarna paszcza otwartych drzwi do piwnicy oraz schody w górę, przetarte ciepłymi stopami mieszkańców tej ruiny. Rozlegały się tam stłumione odgłosy kłótni, ktoś krzyczał w pijanym widzie, ktoś płakał. Dźwięki te jednak matowiały z każdym krokiem, zupełnie jakby należały do świata, który Maksym zostawiał za sobą.

Za schodami korytarz prowadził przez chwilę prosto. Łuszczące się farbą ściany zdawały się oddalać, rozszerzać jak komora tajemniczego grobowca, aż w końcu Maksym stanął przed dwuskrzydłową bramą, półotwartą, ciemną. Łatanina deszczulek i dykty przykrywała miejsca, w których wybito dziury, aluminiowa klamka jak ze szkolnej łazienki zastępowała oryginalny zamek, dawno już wydłubany, sprzedany na złom.

Pająk precyzyjnie przesunął się na drugą stronę. Maksym po chwili wahania uchylił drzwi i poszedł za nim.

Podwórko – dno komina otoczone przez okna, klepisko pokryte ptasim gównem, śmieciami, kawałkami gazet. Wysoko w górze skrawek zaciągniętego brudnymi oparami nieba. Mechanizm zatrzymał się pośrodku placu, przebijając w miejscu odnóżami.